



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

SZCZĘŚCIE.

Szczęście! ach szczęście!... woła na ziemi głosów tysiące, czy przecieź nie należałoby najpierw postawić sobie pytania: co to jest szczęście?... Stary moralista francuzki, La Rochefoucault, mądrze powiedział, że mieści się ono całkowicie we własnym naszym pojęciu go, ponieważ szczęściem jest dla nas to przedewszystkiem, co pragnąc otrzymujemy i ztąd to bywa szczęście, które człowiek zowie zwodniczem, i szczęście stałe, nad którym okoliczności życia panować nie mogą. Do najpięwszych szczęścia warunków należy doskonały rozwój wszystkich sił i zdolności naszych, bo wtedy tylko człowiek zdolnym jest używać zadowolenia prawdziwego, gdy nie w niem nie tęskni i nie boli, nie czuje się skrepowanem i przygniecionem.

Idealy, jakie stawiamy sobie dla życia, są więc gruntem szczęścia naszego. Są to jakoby szczeble tej drabiny Jakubowej, po której duchy z nieba zstępują i ku niebu dążą a im wyższe i szlachetniejsze, tem doskonalszem szczęściem darzą, bo zdobywamy je wtedy przy pełniejszym sił naszych użyciu a jest to już samo w sobie szczęściem, jak nam tego dowodzi życie wszystkich wielkich ludzi, którzy dążąc za wysokimi ideałami ludzkości, skazywali się na pracę, na niebezpieczeństwa i utratę tych życia dóbr rozmaitych, które ogół ludzi ceni przecieź wysoko. Gdyby im dano spokój wśród dostatków i wygod największych, czuli by się nieszczęśliwymi, bo pierwszym warunkiem szczęścia ludzkiego jest żyć—to jest działać, dążyć do jakiegoś postawionego przed sobą celu.

Nie ma tam szczęścia, gdzie nie ma pragnień, bo życie nie posiada już wtedy żadnych ukochań sil-

nych, żadnych postawionych przed sobą ideałów—nie do czego człowiek wyciągałby miłośnie ramiona i jest już on wtedy tylko obojętnym świadkiem toczącego się pod wzrokiem jego życia. A nie zabezpieczy go to od cierpień, bo stan taki już sam w sobie jest cierpieniem, i póki człowiek nie legnie w grobie na odpoczynek wiekiści musi ze względu na własne nawet szczęście, coś kochać, o coś się troszczyć, pracować dla czegoś. — Więcej światła więcej dobra!... to hasło konieczne każdej szlachetniejszej istoty ludzkiej, i w tem jest właśnie podkład szczęścia — w dążeniu takim wciąż naprzód pod godłem wiary, miłości i nadziei: trzech przewodnich gwiazd ludzkości. Pessimizm, którego nowożytniej formy twórcą jest Schopenhauer, to negacya wszystkiego, co daje ludzkości nie tylko szczęście, ale siłę woli, siłę cnoty—siłę postępu. Dowodzi on, że opiera się w tem na idei religijnej, wobec której wszystko ziemskie marnem jest, bo przechodniem i doczesnem, ale twierdzenie to sztuczne i naciągane, bo trzy wielkie cnoty ewangeliczne: wiara, miłość i nadzieja już pessimizm odtrącają.

Pessimista przestaje być przedewszystkiem pozytecznym członkiem towarzystwa ludzkiego, bo jeżeli według Ewangelisty wiara przenosi góry, zwątpienie wytrąca nam z rąk wszelkie narzędzie pracy dla postępu—dla dobra, które możemy otrzymać za pośrednictwem szlachetnych usiłowań ludzi dobrej woli: Ileż to jest między nami takich, których istnienie całe upłynęło w pracy, w trudach ciężkich, w łamaniu się bolesnem z nieprzychylnymi życia okolicznościami, a przecieź nie wszyscy pośród nich czuli się nieszczęśliwymi! Kochali, wierzyli w łaskę bożą, wierzyli w serca drogie sobie istot, i nieraz, ocierając znoj z czoła, czuli się zadowolonymi z chwili odpoczynku, mającej ukrzepić siły ich do nowej pracy, znużenia nowego. A zamilowanie w przedmiocie pracy owej—w idei, która tu jest przewodnią? Czyż to nie uszczęśliwia pisarza, artysty, gdy wysnute

z myśli jego obrazy szlachetnego ideału idą między ludzi wzruszać im serca, budzić w nich tętna żywsze, dające życiu ich cele wyższe, podniesionego nad niski realizm istnienia? Matka, gdy, przyciskając do serca swego dziecinę, której dała życie: woła: „otrzymałam człowieka przez Boga!...“ czyż nie czuje się szczęśliwą, jeżeli tylko wierzy mocno, że zdoła zaszczyć w piersi istotki tej młodej zasady uczciwości i cnoty, które czynią ludzi dobrymi i szczęśliwymi zarazem?

Przelać z serca swego w serce drugie uczucia gorących ukochań i wiar naszych, to także szczęście dla tych, co umieją wierzyć silnie, kochać gorąco, bo czują, że przyłożyli się coś do postępu dobra na świecie. Autor niemiecki, August Niemann, wiedząc, że jest na świecie tyle ludzi smutnych i zgorzkniałych, woła: — „Są ludzie, których oczy nie widzą, których uszy nie słyszą, i dlatego nie uznają postępu, który mimo wszystkiego, co materializm naszego wieku niesie za sobą, dokonywa się wśród ludzkości.“ — „Trzeba tylko, dodaje, aby matki wychowywały dzieci swoje w idei, tworzącej postępek dobry, bo jeden człowiek zły zniszczyć może i zniszczył niejednokrotnie owoce pracy dziesięciu dobrych“ i przytacza na wzmocnienie zdania swego zdanie Leibniza: „Zły człowiek równa się ciemności“, bo gdy złe zapaluje kołem szerszem, przycisza światło cnoty, blaski piękna duchowego i ludzkość staje się wtedy smutną i posępną, bez tych uciech i pociech życia, jakie dobro niesie za sobą. Cywilizacya czyni się wtedy materialną przedewszystkiem, użycie stanowi o szczęściu, i ludzie słabszego ducha zapadają w ciężką chorobę umysłu i serca — w pessimizm... Przestaje się wtedy wierzyć w szlachetne strony istoty ludzkiej, przestaje się wierzyć w szlachetność ludzkiego ducha i ci nawet, którzy jeszcze stoją przy zasadach dobra, już przyczyniają się do złego. Przez ten smutny nastrój umysłu, który ogarniając ich, krzewi poniżające ludzkość, zasady obniżają poloty szlachetnego en-

tuzyzmu a młodości, nadrastającej w tej smutnej epoce odbierają najwyższe szczęście i dobro życia—wiąże w dostojność istoty ludzkiej.

Że człowiek potrzebuje tej wiary, aby bliźniego swego mógł kochać, mógł szanować — aby mógł szanować samego siebie, więc charaktery się psują, serca ziębną, szczęście, które się wytwarzało na podstawie uczuć i pojęć odrzuconych słabnie coraz, ale typ człowieka takiego, jaki wyszedł z myśli Boga, nie może zaniknąć. Prądy pesymizmu, nurtującego dziś świat muszą być zwalczone w piersiach ludzkich, szczęście oparte na wierze, miłości i nadziei musi powrócić, a posłannictwem to jest kobiety odwiecznym, aby goiła, opatrywała krwawiące się rany ludzkości. Niech matka przedstawi dzieciom swoim przykład życia szczęśliwego przez siłę uczuć dobrych, cnót rodzinnych — niech się nauczą za młodu wierzyć, że szczęście takie może istnieć uszlachetnione przez uczucie wyższe, niż miłość samego siebie, a zabezpieczą się wcześniej przed tą negacją szczęścia, która się zowie pesymizmem.

Doświadczenie życia wiedzionego uczciwie umocni ich w tem pojęciu rzeczy. Słowa psalmisty: „Nie widziałem nigdy, aby dzieci uczciwego człowieka zebrały chleba” dowodzą, że cnota, że trzymanie się drogi życia prawej, wzbudza szacunek i miłość ludzką, która przechodzi z rodziców na ich potomstwo, ludzkość więc nie jest tak zła, skoro umie cześć wartość człowieka moralną, cenić w nim cnotę i szlachetne dążenie ku dobremu — ofiary, które składa na jego ołtarzu. Są przecież smutki, smutki szlachetne, których źródłem nie jest bynajmniej pesymizm a przeciwnie wiara w wyższe, podniosłe instynkty i przeznaczenie człowieka na ziemi. — „O duszo moja dla czego jesteś tak smutną? woła szlachetny myśliciel francuzki, Lamainais. — Czy słońce nie jest pięknem, czy nie jest ci miłym do światła jego, które okrywa ziemię zielenią, rozwija wśród niej kwiatów tysiące, budzi naturę do życia i płodności? Wszystko co oddycha na ziemi jednogłośnie błogosławi Moc, obdarzającą świat nasz tak bogato i ptaszek śpiewa wśród krzaka, który jest domkiem jego, owad skrzydlaty unosi się radośnie w powietrzu, dla czegoż więc ty tylko, duszo moja, jesteś smutną, skoro wszelkie stworzenia ziemskie przenika rozkosz istnienia i wszystko w koło ciebie oddycha miłością i szczęściem?”

— Tak... odpowiada przez usta filozofa człowiek smutny — „Słońce jest piękne, światło jego jest dobroczynne; ptaszek mały, owad skrzydlaty i roślina wszelka — natura cała upaja się rozkoszą swego istnienia, ja przecież wzdycham, ponieważ ta pełnia życia, nie przeniknęła do serca mego, jasność ogrzewająca nie dostała się do wszystkim duchom ludzkim, i są tam dotąd cienie pośne, pozwól zatem duchowi mojemu, aby smętnym był i żałosnym...”

Kto przecież wierzy w postęp, to jest w doskonałość stopniową człowieka — kto wierzy w tę drabinę Jakubową, sięgającą od ziemi do nieba, po której duchy z góry na ziemię schodzą i z ziemi ku niebu idą, ten nigdy, nawet z piersią, w której się kryje rana okrutna, nie zwątpi w panowanie ostateczne dobra na ziemi, nie zanurzy się w czarnych falach zwątpienia, nie stanie się pesymistą. Kto wie zali boleść sama nie jest mocą dobroczynną, która toruje się nam drogą życia wyższą, podnosi nad stan zagrzęźnienia w małych, rozleniwiających istotę człowieka zadowoleniach? Jest w boleści, szlachetnie przyjętej siła uszlachetniająca przedmioty, cele ku którym dążymy. To co było wczoraj szczególnie dla nas pożądane, ku czemu wyciągaliśmy namiętnie ramiona, dziś gdy zmienność losu dała nam poznać prawdziwą wartość rzeczy w stosunku do szczęścia, które ogrzewałoby nam serce, rozjaśniało drogę życia — dziś maleje nam to nagle przed oczyma i powiedzieć tu można, że smutek nie tylko nadaje wartość radości, ale uczy poznawać szczęście prawdziwe. Ta gwiazda Chrystusowa, która wschodząc na błękit nieba, każe ludziom podnosić wzrok ku górze, niech im ten kolendowy dar przyniesie, aby umieli szukać szczęścia tam, gdzie je rzeczywiście znaleźć mogą, a odpychając

od siebie pesymizm, który przeczy łasce Bożej, kochali i wierzyli.

M. I.

M G Ł A.

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dokończenie).

*

*

Jednak ta choroba Gajskiego, która sobie wzięła — ot tak, niby przypadkiem przez otwarty łufcik, siedziała kilka tygodni; nie sposób było ją wypędzić.

Uwzięła się dusić i męczyć Franka, jakby na seryo miała ochotę wyprowadzić go na tamten świat i przenieść na tę pierzynę wieczności, w której mógłby się wyłegić do woli i rozmyślać nad marnościami doczesnego żywota, nie potrzebując troszczyć się o żadne jego wielkie czy małe zagadnienia.

Była chwila, kiedy Krempel poważnie drapał się w głowę i już sam niewiedział, co zrobić z tym swoim biednym „zdechłakiem”, w którym dusza ledwie się kołatała, jak w zniszczonej ruderze, szukając miejsca, aby wyprowadzić się z takiego niewygodnego lokalu.

— A mówiłem ci, żyj inaczej, nie po waryaku, — zrzędził doktor nad pacjentem — bo się w galarecie zamienisz. Zastało się w tobie wszystko, skisło, zatechło, byłeś całe życie wątły a nie robiłeś nic, aby siłę nabrać, organizm zahartować, dodać mu zapasu żywotności. Masz teraz, to są skutki. Ja ci ten rozbity garnek jeszcze jako tako zdrutuję, ale potem — poczekaj!... musisz słuchać inaczej, jeżeli nie chcesz, abyś kozła fiknął na drugi świat.

Dziwna rzecz, ta marna odrobina życia, nad którą krzywił się i uśmiechał z ironią, póki czuł się zdrowym, od czasu choroby nabrała dla Gajskiego nagle większej wartości, niżeli mógł był kiedykolwiek przypuszczać.

Leżąc tak godzinami całemi, trawiony gorączką, wyczekiwał nie śmierci, która mu groziła, ale polepszenia, koniecznie polepszenia.

Przywoływał na myśl wszystkie swoje pesymistyczne poglądy na życie, jednak dochodził w końcu do konkluzji, że co innego jest być pesymistą i żyć, a co innego być pesymistą i umierać.

Poruszył nawet pewnego razu w rozmowie z Krempel ten temat, bardzo ostrożnie i z daleka, ale Krempel w oczy mu się roześmiał.

— Mój kochany, tylko mi teraz przynajmniej ze swoim pesymizmem nie wyjeżdżaj. Chcesz, żebym ci prawdę powiedział?... to ci powiem, że ty na ten pesymizm chorowałeś tak, jak na katar, których sobie sam, umyślnie, sztucznie sprowadzałeś. Miałeś zawsze ciepłe buty, ciepły szlafrok, siadywałeś, jak safandula przy piecu i od czasu do czasu wychodziłeś bosy na błoto, aby potem kichać głośno przy takich zakatarzonych głowach, jak Grotwicz albo Mielecki. Ciekawy jestem z czego byś ty miał zostać pesymistą?

Gajski poruszył się na łóżku niecierpliwie.

— Człowiek się pesymistą rodzi, a przynajmniej przynosi z sobą usposobienie do tego.

— Otóż to właśnie, że nieprawda, — przerwał mu Krempel, — natura nie wszadza nikomu na nos ani czarnych, ani różowych okularów przed urodzeniem; dopiero życie, doświadczenie, obserwacja, analiza wyrabiają w człowieku takie lub inne poglądy, ale to jeszcze nie powód, ażeby zostawać moralnym daltonistą, przyzwyczajając się do rozróżniania tylko pewnych kolorów, samych ciemnych

lub samych jasnych. Trzeba widzieć i te, i tamte, — a widzieć dobrze, to grunt, bez wszelkich szkieł, tylko zdrowymi oczyma. Co za cel patrzeć umyślnie na wszystko przez zadymione okulary?... Zresztą, rozumiem jeszcze, kiedy jakiś wielki umysł, który ogarnął olbrzymi obszar rozmaitych zagadnień, przez analizę rozmaitych prawd, doszedł do zwątpienia, nie mogąc gruntu się domać, albo kiedy człowiek borykający się z życiem, zgębiony wielkimi cierpieniami bez ulgi, zszamotany okrutnie, wyczerpany z sił do dalszej walki popada w zwątpienie; rozumiem pesymistów pomiędzy Ikarami, co nie mogli dolecieć do słońca, lub Syzyfami, co swoją bryłę w krwawym znoju toczyli pod górę i patrzali, jak im się ciągle na dół staczała, ale nie w roju takich much ludzkich, jak ty i wszyscy tobie podobni, co tylko latają, brzęczą i lasują z dnia na dzień. Z czegożes ty miał nabrać tego twojego pesymizmu?... z broszurek i książek, któreś tylko przeglądał, z mądrych dyskusyj z Grotwiczem, który jest tylko wyszczekany pasożytem i niczego mu się robić nie chce, bo leniuch, trochę mniejszy od ciebie?... z życia może, którego nie znasz, którego się nigdy nie dotykałeś?... z doświadczeń — jakich?... z cierpień?... chyba żołądkowych, bo innych nie doznawałeś, o ile wiem. Nie mój drogi, twój, wasz pesymizm urodził się z moralnego charłactwa, z lenistwa koehankul... To najwygodniejsza zasada wmówić w siebie, że życie, ludzie, świat cały, idee wszystkie — nie nie warto, aby potem dojść do wniosku, że i robić nie nie warto, że najlepiej jest vegetować tylko, że nie oplaci się żadnych przyjmować obowiązków i żadnej odpowiedzialności, bo i na co, skoro ten świat jest najgorszym i najgłępszym ze światów?... No, przyznaj, że to jest przeciwieństwo logika, choć się do niej głośno przyznać nie zechcecie, ty, Grotwicz, Mielecki *et consortes!*

Zapalił się, mówiąc to, zapomniawszy, że ma do czynienia z rekonwalescentem.

— A powiedz mi, czemu ty jesteś? — zagadnął go Gajski.

— Ja?... ja nie jestem ani pesymistą, ani optymistą, ja jestem człowiekiem bez okularów; staram się tylko widzieć jasno i jak najdalej, abym miał drogę moją przed sobą i szedł po niej prosto do celu.

— A jeśli nie dojdiesz?

— Wpierw dojść spróbuję, a gdyby mi się nie udało, gdyby mnie wszystko w życiu zawiodło, to możebym został w końcu pesymistą, ale tylko względem siebie samego, nie względem drugich. Powiedziałbym sobie, że nie miał siły, warunków, środków zrobić to, co do mnie należało i dopiąć tego, czego pragnęłam, ale nie straciłbym wiary w innych i w świat cały i nie twierdził, że tak samo musi się przewrócić, jak ja. Cały postęp ludzkości dyabli by wzięli przy takim rozumowaniu.

Gajski odwrócił się do ściany ze słowami:

— Jesteś idealista.

Ale Krempel ramionami wzruszył tylko.

— Powtarzam ci, że nie wiem, czemu jestem i nie mnie to nie obchodzi; nie wybierałem dla siebie żadnej specjalnej etykiety. Jestem, jaki jestem, — chcę być zawsze tylko człowiekiem, nie bydlęciem.

— Łatwo ci gadać, kiedy jesteś zdrow i dobrze ci na świecie.

— A tobie źle?..

— Źle, bo głupio. Z moim usposobieniem dzisiaj, to... to...

Nie umiał jakoś znaleźć wyrazu odpowiedniego.

— Czy ty wiesz, jaki jest najpewniejszy środek przeciw zapaleniu płuc? — zagadnął go Krempel.

— Jaki?...

— Strzedz się zaziębienia

— Cóż to ma wspólnego z pesymizmem?

— A ma, bo taki pesymizm jak twój, to także choroba w swoim rodzaju i można się jej ustrzedz; są środki.

— Ciekawym jakie?...

— Między innymi — miłość.

Gajski odwrócił się nagle i z ironicznym uśmiechem spojrzał na Krempela.

— Miłość?... do jakiej Geni Pawłockiej? — spytał z przekąsem.

— Niech ci się nie zachciewa być złośliwym, — odrzekł mu Krempel — mówię o miłości w ogóle. Gdybyś cokolwiek w życiu był ukochał, ale prawdziwie, szczerze, głęboko, nie byłbyś został tym malowanym pesymistą, na jakiego pozujesz, — i byłoby ci lepiej w życiu; miałbyś choć słońce w pojedynczych promykach i nie widział samych cieni, samej mgły dokoła siebie. Ale nie myśl, że ja pod miłością rozumiem tylko jedną jej formę, erotyczną, choć i ona czasem wystarcza, aby kretę zmienić w skowronka. Nie uśmiechaj się, bo ci z tym dzisiaj nie do twarzy, — robisz ironię, jak podrabiałeś pesymizm.

— No, no, mów tylko tak dalej, boś wziął na karnościę; z doktora wylazł ksiądz i do tego misjonarza. Nawracaj, nawracaj mnie na inną wiarę; kto wie, może ja się przekonam...

Krempel położył mu rękę na ramieniu i koldrą okrył mu piersi.

— Przedewszystkiem — rzekł — nie podnoś się i nie odkrywaj, bo chociaż z takiej zdziczałej figi nie będą już nigdy słodkie owoce, ale po co mają tobą dyabli w piecu palić przed czasem, kiedy możesz jeszcze trochę porosnąć na tej podłej ziemi, prawda?... A teraz powiedz mi, albo nie odpowiadaj nikomu tylko sobie, czyś ty cokolwiek kochał w swoim życiu?... miałeś ty w sercu coś lub kogoś bardzo drogiego, co warte było twojej czci, twego poświęcenia, twojej dobrej woli?... przecież ja cię znam tyle lat i znam lepiej może, niż ty sam, nawet niż twój Grotwicz.

Gajski się zachnął na wspomnienie Grotwicza, czy na zadane sobie pytanie.

— Ee, daj mi pokój, nudny już jesteś, — mruknął, zaciągnął koldrę, aż pod brodę i przymknął oczy, jakgdyby go ta rozmowa znużyła, ale kiedy Krempel odszedł, przewrócił się na prawy bok, głowę podparł na dłoni i zapatrzony w swoje pantofle, leżące przy łóżku na ni-dzwiedziej skórze, rozmyślał długo jeszcze i głęboko.

Z całej rozmowy utkwiły mu jednak najbardziej te słowa końcowe w myśli:

— Czyś ty cokolwiek kochał w swoim życiu?..

Takie proste zwyczajne, pospolite pytanie a tak mu trudno było dać na nie odpowiedź nawet sobie samemu.

Czy kochał?... a licho wie. Że mu też to nigdy do głowy dawniej nie przyszło!..

Kogoż właściwie miał kochać?... ojca?... odumarł go tak wcześnie, zostawił małym chłopcem przy matce, samego w domu. Jakżeż można kochać kogoś, kogo się prawie nie znało wcale?..

Zatem matkę?... no tak, matkę przecież kochał, dobra była, dogadzała mu, nie żałowała niczego, czasem nawet pieściła. Tak jest, matkę przecież kochał, ale to dawniej, kiedy był w szkołach, kiedy do niej na wakacje przyjeżdżał, kiedy był więcej od niej zależnym i częściej ją widywał.

Ale później?... później coś się jednak z tą miłością dziwnego stało; coś takiego jakgdyby ta miłość przestała go zobowiązywać, zajmować, odzywać się w nim sama.

Gdzieś tam na spodzie serca, jak w nieotwieranej nigdy walizce, zawinięta, schowana, leżała sobie ta miłość, jak nieużyteczny grat z przeszłości...

Od czasu, kiedy „matkę“ zaczął nazywać swoją „starą“, nabrało i to synowskie uczucie jakiejś innej nazwy; rozmyślając teraz o tem, niechętnie nawet zastanawiał się nad tą kwestją.

No, ale matka zawsze matka; jeśli dla kogośkolwiek w życiu ma jakie uczucia, to z pewnością dla niej jednej, chociaż... tak mu trudno pogodzić się z jej kobiecą logiką, z jej moralami, z jej pretensjami, nawet z tą jej miłością, która bywa niekiedy uciążliwą i niewyrozumiałą aż do śmieszności.

A te przesady jej, to zacofanie!..

Ileż to razy z Grotwiczem nie ten temat macierzyńskich przywilejów rozprawiali, oburzając się na despotyzm rodziny. Zdaje się nawet... kto wie, czy się nie śmiali z konserwatyzmu tej poczciwej „starej“, która zapytywała kiedyś w liście swego jedynaka, dlaczego tak dawno nie był u spowiedzi?..

Jednak z tem wszystkiem nie można powiedzieć, aby matki nie kochał, chociaż całemi miesiącami zdarza się, że nie pisuje do niej, a podczas

choroby ostatniej nie chciał za nic w świecie sprowadzić jej ze wsi.

Nie cierpi babskich lamentów.

W każdym razie woli już z dwojga złego sam chorować, niż gdyby mu zachorowała matka, nie dlatego aby mu o cierpieniu jej chodziło, ale ten kłopot, ten niepokój, ten obowiązek dowiadywania się o nią, może nawet pilnowania jej w chorobie...

Nie, lepiej niech będzie zdrową i żyje choćby sto lat.

Tak to będzie najlepiej i najwygodniej — dla nich obojga.

Kogoż więcej zatem jeszcze w życiu kochał?... przyjaciół?... nie miał ich wielu, miał tylko dobrych kolegów, przyjemnych towarzyszy; byli tacy, których lubił. O!... lubił, to wyraz właściwy, jedyny, co określa jego uczucia.

Ale kochał, kochał?... tu chodzi o coś poważniejszego o coś, co stanowi w życiu czynnik głębszy, co wywierać może wpływ trwalszy, co jest pewnem niezbędnem dopełnieniem życia i duchowej egzystencji człowieka.

Może kobiety?... eh, te kobiety, które spotykał po drodze!... Kwiczoły skubią tak jałowicie, jak on ich miłość.

Pierwszy raz coś mu się zdawało, na coś się zanosiło, przy tej małej z dołkami na buzi, przy tej tam, z drugiego piętra.

I cóż z tego?... pięknie tę miłość zaczął od zrobienia uczciwej dziewczynie propozycji, jak pierwszej lepszej z ulicy,

To to miała być miłość?... żarty!

Uczucie, które ubliża kobiecie, nie może być godnem takiej nazwy.

Jeżeli się kocha, to tak, jak Krempel, idzie się naprzód z sercem, na ofiarę, potem z pierścionkiem, a potem z pocałunkiem. Wszystko powinno mieć swój porządek, aby nie burzyć prawa.

A nie można w miłości uwzględniać tylko samą namiętność bez uczucia i pierwszą stawiać przed drugiem. Zmysły a serce, to nie to samo.

Można całować dlatego, że się kocha, ale kochać dlatego, że się całuje — to bardzo marna miłość i nietrwała.

A właśnie o innej nie miał pojęcia dotąd Gajski i innej nie uznawał, ani on, ani Grotwicz, ani żaden praktyczny pesymista z ich szkółki.

Dziwna rzecz, jak mu się po rozmowie z Kremplem te wszystkie refleksje niesmacznymi wydały. Cóż do licha, miałżeby ten Krempel na prawdę mieć słusność?... więc nikogo, nigdy w całym życiu Gajski nie kochał?

Ostatnie passye go porywają, gdy robi ten obrachunek ze swoim sercem. Chciałby tam przecież znaleźć choćby strzępek jakiegoś uczucia głębszego i nie, nie, nie znajduje?..

To chyba kochał siebie samego?..

I to nie, bo przecież nie dobrego sobie nie zrobił, nawet o siebie dbać nie umiał. Tak, teraz to widzi, teraz to czuje, że nawet egoistą dobrym być nie potrafił, bo przy wszystkich warunkach i środkach nie umiał z życia zebrać dla siebie tego, co ono najlepszego posiada.

Ma młodość; i co mu z niej?... ma majątek; dużo mu z niego przyszło!... ma swobodę, i nie nie robi; miał trochę zdrowia i to mu się zmarnowało. Ma głowę — zepsutą i serce — zwietrzałe.

— Ach, ten szubrawiec! — wyrzywa mu się nagle z piersi ostry, przykry, pełen goryczy i nienawiści wykrzyknik.

Chuda, zbiedziona, blada, jak z opłatka wygniecionej, ręka zwija się w zaciśniętą pięść i grozi w powietrzu komuś, co stoi, jak oszust przed oczyma duszy Gajskiego.

Nazwisko dawnego mistrza, mentora, proroka nie przechodzi teraz przez usta jego; zdaje mu się, że musiałby splunąć, gdyby wymienił kiedykolwiek Grotwicza.

Nie mu przecież nie zrobił, a jednak są chwile, w których czuje do niego nienawiść tem większą, że musi ją tłumić w sobie i nie chce się głośno przyznać do niej przed nikim.

Jedna myśl go tylko teraz zajmuje, odkąd wie, że gorączka minęła, a rekonwalescencja postępuje: żeby wstać, żeby się podnieść z łóżka, z tego łóżka, w którym dawniej tak mu wygodnie, dobrze, spokojnie było.

Na dworzu zima, śnieg, biało, jakby się świat cały watą otulił, słońce złote świeci przez szyby zamrożone, ale Krempel swojemu pacjentowi nawet przez okno na ulicę wyjrzeć nie pozwala.

— Teraz się szanuj, teraz się pilnuj, abyś nie dostał recydywy, — powtarza mu. — Z taką kocią piersią niema co udawać Goliata.

Przesadza umyślnie trochę, aby go zastraszyć, bo wie, że to poskutkuje na przyszłość, i nie myli się. Gajski słucha swego doktora, taki pokorny, taki cierpliwy, jak gdyby wierzył, że Krempel ma jego zdrowie zamknięte w biurku i tylko codziennie po odrobinie w nagrodę dobrego sprawowania się, wydziela je pacjentowi.

Słucha nawet Anastazego, który jest jedynym jego aniołem opiekunem w chorobie i przynosi mu nowinki ze świata.

Nie wyobrażał sobie, aby ten powrót do zdrowia i do sił mógł mieć tyle uroku; liczy już dni i godziny, kiedy będzie mógł wstać po raz pierwszy.

Wpokojukaże codziennie sobie rozpylać wodę leśną, zamyka oczy i bawi się sugestją, wmawia w siebie, że leży w jedwabnym hamaku, wśród szpilkowego lasu, buja się, a nad nim unoszą się szumy drzew, świegot ptaszka i jak przez jedwabny zielony parasol słońce świeci mu na głowę i na piersi a żywiczne zapachy dolatują go ze wszech stron.

Dobrze mu jest zaczyna; kochać tę wymarzoną naturę, która ma go do reszty uzdrowić, gdy wyjdzie z pod lekarskiej opieki.

Zdobyl się nawet na jakiś serdeczniejszy list do matki, w którym pisze tylko o małej niedyspozycji, nie wspominając o ciężkiej chorobie, jaką przeszedł i zapowiada, że może, może odwiedzi ją na wiosnę, ale to jeszcze nie pewnego, bo jeśliby wiosna miała być wilgotna, to kto wie, czy nie nie pojedzie na południe.

Krempel wspominał mu o Algierze i odtąd roi mu się po głowie podróż do Afryki.

Ten projekt nawet coraz lepiej mu się podoba.

Odkąd mu wolno wstawać i chodzić po pokoju w szlafroku i pantoflach, czuje się, jakby po raz drugi na świat przyszedł.

Zajmują go takie drobiazgi, na jakie dawniej wcale uwagi nie zwracał; w „Kurrerze“ czytuje teraz przepowiednie pogody, kilka razy dziennie spogląda na termometr, aby się przekonać, czy w pokoju jest stała temperatura, nie za niska i nie za wysoka.

Pod ręką ma ciągle lusterko kieszonkowe, w którym bada swój język, czy biały, oczy — czy nie żółte, palcem odwija powieki i ogląda dziąsła, czy nie za blade i czy anemia się nie rozwija.

Inny człowiek wstał z łóżka po chorobie.

Krempel własnym oczom uwierzyć nie chce, aby to był ten sam Gajski.

— Mój kochany, bądź łaskaw nie wchodzić do mnie z papierosem zapalonym, — ostrzega swego doktora już we drzwiach.

— Dlaczego?

— Bo mi dym zanieczyszcza powietrze, a przecież wiesz, że jeszcze kaszlę.

Rano i wieczorem regularnie teraz sam sobie mierzy temperaturę i zapisuje w dzienniczku wszelkie zboczenia najdrobniejsze.

Z biblioteki Krempela wziął cały stos książek medycznych o chorobach piersiowych, o bakteriologii, o higienie i wertuje, jakgdyby się przygotowywał do doktoratu z medycyny; nawet atlas anatomiczny leży u niego rozłożony na stole.

Nauczył się mnóstwa terminów i wie już, jak się każda cząstka w gardle i piersiach po łacinie nazywa; mógłby prowadzić całe rozprawy z patologii i terapii. Często spiera się nawet z Kremplem o pewne poglądy i przekonany jest, że rozumie lepiej od niego niektóre kwestye.

Poza własnem zdrowiem przestaje go wszystko na świecie obchodzić i nie spostrzega się, że bezwiednie znalazł w życiu cel i przedmiot miłości: siebie.

Kazał sobie sprowadzić do domu mikroskop i biedzi się nad studyowaniem swojej krwi, śliny, flegmy, niby to ot tak, dla ciekawości, dla zabicia czasu, dla zabawki, ale chodzi mu o coś poważniejszego.

Obawia się skutków swej choroby, wydaje mu

się, że mogą się w nim rozwinąć suchoty, więc należy się mieć na baczności.

Ten dyktantyzm naukowy przechodzi u niego w istną manję, z której sam podrwiwa wobec Krempla, lecz której się poddaje z coraz większym zapalem.

Dobrze mu jest z tą urojoną chorobą, która go zmusza do troskliwości nad samym sobą; ma się przynajmniej czemś zająć i czem całe dnie puste wypełniać.

Te obserwacje nad samym sobą pochłaniają teraz jego całą uwagę, ale codziennie wynajduje w sobie zarodek jakiejś nowej choroby.

Zmieniał zupełnie tryb życia, zarzucił pierwotny projekt wyjazdu na wieś i jedzie do Algieru na wiosnę.

W tej sprawie zagadnął nawet pewnego dnia Krempla.

— Słuchaj, czy tybyś nie zgodził się wyjechać ze mną na południe?

— Z tobą?— a to po co?

— Jakto po co?... dla dokończenia kuracji.

— No, doktor ci już niepotrzebny, jesteś przecież zdrowy, tylko się szanuj.

Gajski uśmiechnął się sceptycznie.

— Do zdrowia zupełnego jeszcze daleko. Ja się już także znam trochę na chorobach.

— Kiedy ci mówię, żeś się wyrestaurował o tyle, o ile to było możliwem, to mi wierz.

— Dobrze, dobrze; a więc nie pojechałbyś?... naturalnie, na mój koszt.

— Za nic w świecie!... ja tu mam mój szpital, moich chorych, moje obowiązki.

— I swoją Genię.

— A rozumie się, i moją Genię!..

— No, to ja sam pojadę; trudna rada.

Sklonił głowę i westchnął, a ręce założywszy w rękawy, z przyzwyczajenia wziął się za puls.

— Jedź z Bogiem, ale wracaj przynajmniej na nasz ślub,—pożegnał go Krempl.

— Więc stanowczo się żenisz?

— Ciekawy jestem dlaczego bym nie miał wziąć szczęścia, które mam pod ręką?... niech tylko załoba minie, natychmiast mojej pannie czarny welon zmienię na biały i ruszam do ołtarza, a potem tu do naszego gniazdka.

Gajski poruszył się żywo, jakby go wstrzymał cichy od tego postanowienia.

— No, cóż takiego?...

— Bój się Boga, chcesz zostać w tem mieszkaniu?

— A dlaczegożby nie?.. będziemy z całą rodziną pod jednym dachem.

— To także przynajmniej zedrzyć tapety w moim pokoju i ściany zdezinfekować, gdy wyjadę.

Krempl spojrzał na niego, jak na fixata i śmiejąc się z tej zbytnej przezorności, odrzekł:

— Bądź spokojny, każę wywietrzyć twój pokój tylko z miazmatów po Grotwiczu.

W dwa tygodnie później otulony szalami, w futurzanych berlaczach, w czapce nasuniętej na oczy, z respiratorem na ustach, wyjechał Gajski Franciszek na południe.

Przed ostatnim dzwonkiem zawołał jeszcze Krempla, który go odprowadzał sam jeden na dworzec, do wagonu i podając mu rękę, rzekł:

— Mój drogi, zobacz-no czy ja nie mam gorączki; jakoś mi puls za bardzo galopuje.

Ale doktor uśmiechnął się tylko i ramionami wzruszył.

— Bądź spokojny—rzekł—nie ci nie jest i nie będzie.

Gajski spojrzał na niego jakby z urazą; zaledwie pociąg ruszył, wyjął z kieszeni swoje lusterko i przejrzał się w niem, czy nie ma wypieków na twarzy.

Gdyby pozyskał pewność, że jest zupełnie zdrow i nie potrzebuje się więcej obawiać o siebie, straciłby znów ów jedyny cel w życiu, jaki sobie wynalazł i nie wiedziałby znowu, co robić na tej podłej ziemi.

RUCH MUZYCZNY.

Druga z kolei większa produkeya twórcy Mascagni'ego, trzyaktowa opera: „L'amico Fritz” zawitała nareszcie na naszą scenę. Zbudziła ona już nie tylko prostą ciekawość, lub gorączkową podniecie, jaką wywołuje każda nowość w dzisiejszem, żadnem społeczeństwie, — lecz nadto stała się źródłem większego zastanowienia, polem badania i roztrząsania dla tych, którzy w Mascagnim widzą jednego z pionierów nowej włoskiej szkoły, niejako zwiastuna przewrotu spełniającego się obecnie w muzyce dramatycznej. Poprzednie dzieło, „Cavalleria Rusticana” dała nam poznać w młodym kompozytorze śmiałego władcę siłami zbiorowemi, massami choralnemi, za pomocą których umie on wyrażać uczucia w grę wchodzące i koloryzować obrazy sceniczne z prawdą i rzutkością genialnego impressjonisty. Nie dziw przeto, że w „L'amico Fritz” można się było spodziewać takiej samej hojności i potęgi barw dźwiękowych, użycia podobnych czynników do ilustracji nowego dramatu. Na przekór Mascagni okazał się tym razem o wiele skromniejszym ilustratorem; przez cały ciąg wdzięcznej akcy scenicznej, raz tylko jeden w introdukcji aktu trzeciego wzniósł się do szerszego, potężniejszego rozmachu w orkiestrze do wstrząsającej pełni instrumentacji, — efektu zaś choralnego użył jedynie tylko w przemianieniu z oddali. Być może zyskała na tem prawda dramatycznej treści, o której nienaruszalność tak dbają twórcy nowego kierunku, ale zatępiły się nieco rysy, które poprzednio zdawały się stanowczo znamionować *genre* Mascagni'ego. Kompozytor objawił się nam w nowej postaci; bardziej subtelna i o strunę liryczną potracająca muzyka towarzyszy pogodnemu obrazkowi życia wiejskiego, wśród którego złotą przewija się nicią miłosna historia szczęśliwych sere dwojga.

W obecnej chwili nie ma zapewne nikogo, kto by nie znał osnowy „Przyjaciela Fritza”, — od czasu gdy libretto w operze równoważne z muzyką zajęło stanowisko i na tę ostatnią tak silny wpływ wywiera i natchnieniami jej kieruje, obowiązkiem stało się szczegółowo treść libretta roztrząsać, niemal tak, jak się to czyni z utworami literatury. Tutaj więc, już tylko dla uprzytomnienia sobie charakterystyki muzycznej i wskazania najpiękniejszych momentów, zaznaczymy, że w pierwszym akcie widzi się jak główny bohater, właściciel wiejski Fryc, spokojny żywot pędzi w gronie przyjaciół otoczony sympatją ludu i sąsiadów dzięki swej miłej zaćnej i dobroczynnej naturze; jak owo przedłużające się stadyum kawalerskiego życia, nie podoba się tylko najlepszemu i z pewnością najprawdziwшему przyjacielowi Fryca, Rabinowi, który wedle biblijnych zasad, radby ujrzeć Fryca żonatym, rodzinnego szczęścia zażywającym. Ten cały akt pierwszy, spokojny, rozjaśniony jeszcze ukazaniem się uroczej postaci Suzeli, córki sąsiedniego dzierżawcy, — oto tło, na którym Mascagni stworzył muzykę pełną przejrzystych i łagodnych barw. Począwszy od introdukcji, instrumentowanej bardzo oryginalnie a powiewnie, spotykamy już to misterne frazy muzyczne, już to motyw piosenki, tętniącej sielanką, już to poważniejsze, spokojniejsze, tony jakimi Rabin przemawia. Gorętszą iskrę wykrzesza gra cygana Beppa (za sceną), i piosenka jego krótka dosyć. Rozumiejac, że kompozytor nie mógł inaczej danych chwil ilustrować, czując, że z umysłu nie chciał użyć efektów silniejszych, chociaż nawet sposobność ku temu się nadawała, — nie mniej dziwny się metamorfozie, zdolności przeobiekowania się w odmienną szatę, przemawiania nowym językiem. W drugim akcie, najbardziej w ogóle porwijającym i najpiękniejszym, należy do momentów wybitnych sławny już tematik na dwa głosy (Fryc i Suzel) przy rwaniu wstien w którym idealny baroco dźwięk znajduje nieświadome jeszcze swej mocy uczucia; jest scena przy studni (Rabin i Suzel), gdzie Rabin ma-

jestatycznie przemawia, a młoda dziewczyna zpod serec spowiada się ze swej czystej miłości, — scena to wielce natchniona, oryginalna, wybornie zespolona partya orkiestralna o głębokim nastroju. Od tej chwili aż do końca opery miłosny pierwiastek w grę wchodzi. Uczucie Fryca dla Suzeli, podniecone zazdrością acz nieuzasadnioną, szuka i w muzyce coraz namiętniej brzmiących tonów, aż urasta do najgorętszych akcentów w akcie trzecim, gdy młodzi ludzie wzajemnie zapalem tego szczęścia są porwani. Tu kompozytor mógłby odnaleźć pole do natchnień ulubionych, i rzeczywiście dał im ujście we wstępie orkiestralnym aktu trzeciego; potęgą brzmień instrumentalnych, falą pełną i szeroką płynącą, odbija w sobie najdoskonalej te rysy twórcze, któreśmy w poprzednim dziele Mascagni'ego uchwycili. Później, z żalem trzeba wyznać, że pomimo naprężenia strun uczuciowych pomysły muzyczne słabną, przedłużają się w monotonię która pewną czczość słuchaczowi zostawia.

Wykonanie opery którą wyuczył i kierował dyrektor Trombini, powiodło się wybornie. Główne role odtworzyli pp. Stehle (Fryc) i Chodakowski (Rabin) oraz panna Lantes (Suzel). Pannie Dąbrowskiej dostała się epizodyczna rola cygana, którą młoda śpiewaczka zdołała bardzo ładnie wypuklić w śpiewie jasnym i uczuciowym. Skrzypcowe role cygana za sceną odegrał p. Barcewicz i tu dostało się w udziale nie tyle okłasków kompozytorowi, ile znakomitemu wykonawcy. *Mise en scène* należy do niezmiernie wdzięcznych i artystycznych; dekoracje kopiowane z wiedeńskich, tutaj na miejscu przez p. Klopfera, są uroczyste i czynią zaszczyt pracownikowi.

Od sceny opery ku estradzie koncertowej zwrócimy teraz spojrzenie. Przeszłość to wprawdzie dość już daleka, lecz miłych wspomnień pełna ów występ panny Poznańskiej w Teatrze Wielkim. Młoda fortepianistka, uczennica Rubinsteinowa, dopomina się słusznie o miejsce w rzędzie pierwszorzędných wirtuozów, chociaż gra jej nie dosięgła jeszcze tego stopnia, z którego bierzemy miarę artysty, czając, że artystka nie postąpi już wyżej. Panna Poznańska jest naturą bogato uposażoną, artyzm jej niewątpliwie będzie jeszcze doskonalić się i wzrastać. Od kiedy grę jej pamiętamy, uczyniła wielkie kroki naprzód, tak pod względem techniki, jak i duchowego rozwoju. Technika jej wysmienita nosi cechę szlachetną, albowiem artystka wszelkiem szarżowaniem i blichtrzem pogardza. W dziełach wykonywanych słusznie uwytatniając szczegóły, może przy tem całość ogarniać myślowo i stara się wniknąć w charakter kompozytora. Koncert A moll Schumannowa z towarzyszeniem orkiestry najdoskonalej był oddany: znać artystka w duszy swej, jak w zwierciadle, całą zawartą w kompozycji poezję, marzycielstwo i refleksję. Pięknie także interpretowaną była Sonata Apassionata Beethovena op. 57. Warjaacje na temat oryginalny, Paderewskiego, iskrzyły się pod palcami wirtuozki świetną tęczą swych barw gorących i żywych; z kilku dzieł Chopina które panna Poznańska na program wybrała, najbliższem duchowej prawdy było wykonanie Preludjów (B—As i E major).

W Towarzystwie muzycznym na większym Środowym wieczorze, mieliśmy sposobność słyszeć małego wirtuozu skrzypka, Arturka Argiewicza. Co o nim wyrzec? Co wróżyć o przyszłości gdy obecnie już czyni wrażenie skończonego artysty, odpowiednio do techniki jaką włada i hystrości z jaką myśl kompozycji przenika. Słowem: mały Argiewicz ocale niebo przerasta wszystkie dotąd znane i wychwalane „cudowne dzieci”, które w porównaniu z nim stoja dopiero u progów świątyni sztuki. Odegrał koncert A moll (Gesangsce) Spohra, Nocturn M. Hausera, Mazurek Wieniawskiego i Fantazję z Fausta Gounod-Allarda. — Pannie biorącej udział w tymże wieczorze, zebrały sporą część okłasków: panna Piechowska Ewa za śpiew, panna Matylda Tuszowska za grę fortepianową. Śpiewaczka, lubo organ głosu posiada niesilny, zbyt może nawet delikatny, wykonaniem wdzięcznem, misternem zastanawia i ujmuje słuchaczów. Program jej składał się z arii op. „We-sele Figara” Mozarta, z „Ballady” „Amour chevalier” Lemaire'a i pieśń Kratzera „Skrzypki swa-

ty". Fortepianistka jedna ze zdolniejszych uczennic p. Michałowskiego, zaświadczyła znowu o doskonałości kierunku, pod jakim zostaje, i o tem zarazem, że ten artystyczny kierunek nie poszedł na marne. Odegranie Andante F-dur Beethovena, „Gigue” Scarlati — Bülowa i kilka utworów Szopena, powszechnie się podobało.

Wieczory muzyki kameralnej urządzone przez tutejsze konserwatorium, nie cieszą się wielkiem powodzeniem u publiczności, a przecież i wybór dzieł staranny i wykonawcze siły doborowe miałyby prawo domagać się szerszego i gorliwszego posłuchu. Jak to bywa u nas, jeszcześmy nie zupełnie dorośli do uwielbiania sztuki dla niej samej tylko, bez domieszki innych, pobudzających ciekawość czynników. Zatem, wspominając tutaj drugi wieczór kameralny, dość będzie wymienić tylko program: Sonata G-dur na fortepian i skrzypce op. 13 Rubinsteina, kwartet smyczkowy F-dur op. 17 Nr. 1 Beethovena i sektet smyczkowy Czajkowskiego C-moll. op. 70. Wykonawcami kwartetu byli pp. Barcewicz, Stiller, Jakowski i Cynk—do Sonaty zasiedli: p. Barcewicz, Brykner, w sekcje zaś smyczkowym komplet uzupełnili pp. Noskowski i Waghalter.

Drugi w tym sezonie koncert „Lutni”, odbył się jak zazwyczaj w obec przepełnionej sali. Od niedawna pod tą samą egidą zorganizowany chór żeński stał się jednym więcej pociągającym czynnikiem dla Towarzystwa śpiewaczego, które tak ogólna cieszy się sympatią; sztuka również zyskała na nowym żywiole. Do wykonania kolendowych pieśni: „W żłobie leży” (opracował p. Mikuli) i „Bóg się rodzi” (opracował p. Rzepko), stanęły siły zbiorowe: chór męzki i żeński z towarzyszeniem orkiestry. Brzmiało to bardzo efektownie w starannem i inteligentnem zespole. Na same głosy niewieście, usłyszeliśmy dwugłosową pieśń z akompaniamentem fortepianu. „W kalinowym lesie” Noskowskiego, „Kolendy” Moniuszki i „Grędy rutą siane” Pankiewicza. Dużo bardzo ładnego materiału wokalnego i dużo muzykalności dało się zauważyć, trzeba więc tylko „Lutni” poświęcać nowego nabytku. Panowie Cynk, wiołaczeli, i Pankiewicz obdarzyli słuchaczy pięknym koncertem Saint-Saënsa E-moll i jeszcze na bogactwo programu złożyło się wykonanie „Suity w stylu dawnym” op. 40 Griega przez orkiestrę Teatru Wielkiego, pod dyrekcją p. Mażyńskiego.

Z nowości pedagogicznych wyszło świeżo dzieło p. Jana Drozdowskiego profesora Konserwatorium Krakowskiego, p. n. „Uwagi nad mechanizmem gry na fortepianie”. Tytuł sam już nasuwa nam na myśl pytanie: czy książeczka ta jest przeznaczoną dla artystów i profesorów czy też dla samouczących się profanów? W pierwszym razie wymagałoby się od niej, jako od dziełka mówiącego szczegółowo o budowie i układzie ręki, sposobie wykonywania ruchów i wydobywania dźwięków z fortepianu, jakowychś świeżych i postępowych poglądów, któreby mogły w nauce gry na fortepianie pomódz nauczycielom do należytego wyzyskania warunków przyrodzonych, lub nieznanne jeszcze w tym względzie dać mu wskazówki. W drugim wypadku, jeśli to ma być zbiór wskazówek dla uczniów i osób, które bez pomocy znawcy chcą dojść do pewnej biegłości i wprawy, główną dziełka zaletą winna być jaknajwiększa zrozumiałość, jasne i ścisłe sformułowanie zdań, styl prosty i czystość języka. Niestety, wyznać musimy, że książeczka ta, pomimo widocznych usiłowań autora, w żadnym razie nie czyni zadość wymaganiom czytelnika, nie jest bowiem pisana, ani w tak szerokim i poważnym zakresie, by mieć znaczenie w rozwoju nauki, ani też skreślona dość jasno i zrozumiale, by stać się pożytną dla ogółu. Język tego dziełka grzeszy wielką ilością wyrażań obcych, które dałyby się wybornie swojskimi zastąpić jak np. statura, korpus, mięśnie, impuls, grawitacja, kultura, oscylacja i t. p. Dla chcących zapoznać się bliżej z tem dziełkiem, które się tutaj streścić nie da, wymieniamy zawartość rozdziałów, która może ciekawość czytelników pobudzić. 1) Budowa ręki i przyswojenie ruchu. 2) Układ ręki i wykonywanie ruchu. 3) Instrument. 4) Uderzenie. 5) Praktyczne wnioski i uwagi.

Na tem zakończymy pogawędkę, i tak nieco może zadługa. Nadchodzący rok nowy co nowego ze sobą przyniesie — niestety, nie wiemy, — wolno nam jednak z serca życzyć czytelnikom, aby przy duchowej, niezmaconej pogodzie, najmiłsze, podniosłe wrażenia, jakie sztuka dać może, były ich udziałem.

Juljusz Stüttler.

DNI DOROCZNYCH UROCZYSTOŚCI RODZINNYCH

(ze wspomnień młodości).

(Dokończenie).

Szary świt grudniowy zaledwie zaczął się dostawać z głębin ciemności na powierzchnię otulonej w duże zasypy śnieżne ziemi, a już w dniu wigiliowym liczne gromady gości starego dworu budzić się i wstawać zaczęły... Piania kogutów na godzinę przed świtem dawały ku temu hasła: czujne ptaki dworskie pierwsze się odzywały, za nimi biegły głosy innych, dalszych z koguciej rzeszy — i te nawoływania skrzydlatych straż, płynąc ku wiosce, zlewały się w chór rozgłosny.

Światła ukazywały się w oknach oficyn, to jaśniejsze, to mniej jasne; w niektórych izbach gościnnych płonęły tylko posępne łojowe świece, w innych duże kłody na kominie rzuciły blask jaskrawy. Przy światłach różnych barw i różnej mocy budziły się uspione postacie gości, spoczywające na łóżkach, bądź na słomie, bądź na sianie obfitem, wotnem, z którego uścielano dla nich posłania. Improvizowane te łóża pokryte były kołnierami, nieraz bardzo cennymi, i odznaczały się wygodą znacznie przewyższającą wszystko, co można w naszych hotelach otrzymać...

Pierwsze światelko pospolicie padało z okien malutkiej, najdalej wsuniętej w głąb drugiego dziedzińca, oficynki. Siedziaba to kapelana. Stary ks. Ignacy słuszny szczupły, z twardą ascety, zwykle wcześniej wstawał do modlitwy, w dniu wigilii wcześniej, niż zwykle. Czekala go praca dłuższa; późnym wieczorem „pasterka”, a msza w owym dniu również bardzo wczesną bywała.

Ta malutka oficynka śmiało mienić się mogła jednym z żarnek światła dla wioski i bliższej okolicy. Gwar powtarzanego elementarza rozlegał się wciąż w jej ciasnych, ubożnych izdebkach i w chwilach przedświtowego wstawania do elementarza zasiadała gromadka dziatwy złożona z różnych pacholków, z chłopców służących do Mszy, z różnych niedorostków, w jakich liczny dwór obfitował.

Skoro nadeszła godzina wschodu słońca, roznoszono kawę po izbach i pokojach gościnnych; niektórzy poprzestawali na piwie grzanem, a że był to dzień postu, podawano je w kubkach bez śmietany, z grzankami w oliwie lub oleju smażonymi.

W chwilach świąt dorocznych i liczniejszych zjazdów rodzinnych, gospodyni domu objężdżała pospolicie wszystkie pokoje gościnne wczesnym rankiem, sankami zimą, a dorożką w dniach lata i wiosny, oddając gościom dzień dobry, zapytując, jak spali, i czy komu czego nie brakuje... Wzięty te, rozumie się, tyczyły się tylko starszych, poważniejszych gości. Do innych wysyłała któregoś z synów, do najmłodszych jeszcze kogoś z młodszych delegowała.

Na mszę, która odbywała się w saloniku głównym, w dniach późniejszej, już zbyt sędziwej starości gospodyni domu, zbierali się, niedość, goście, ale i służba dworska, i czeladź domowa, a chwile uroczyste sprawowały niejedną wieś śniaczy, niejedną kapotę samodzielną. Z możności tego zetknięcia się świątów różnych wytwarzała się nieraz korzyść prawdziwa dla świata maluczkiego, świata twardego trudu. Przedział między dwoma światy nie był zresztą tak wielki

jak dziś, w epoce hasła demokratycznych. Nie spotykano nawoływania, nie grzmiały te hasła w dziennikarstwie, lecz życie samo, oparte na chrześcijańskim ustroju społeczeństwa, wytwarzało jednolitość większą, niż ta, jaką się nieraz buduje sztucznie.

Nie dziwnego: pierwsza brała swe wzory z Golgoty; druga czerpała z ksiąg mówiących o hasłach wielkiej rewolucji francuskiej. Pierwiastek ziemski górował, póki go nie wyrugowano z życia, póki czci człowieka i wszystkiego, co zeń pochodzi, nie postawiono ponad wszystkim.

Codzienna msza święta, odprawiana w pokoju, trwała pospolicie krótko, nie przeszkadzała zatem powszednim pracom dnia; nieinaczej też było w oną wigilią. Zbierać się przeto codziennie mogło tam, u stopni napręde ubranego ołtarza, wszystko, co żyło, wszystko co mogło. Na odgłos dzwonka, umieszczonego na dziedzińcu, obok kaplicy, śpieszyli starsi i młodszy z czeladzi, śpieszyli wyżsi i najniżsi w hierarchii domowej; dla nikogo nie było to zaleconem, śpieszyli nie z rozkazu, ale z wewnętrznej potrzeby — tworzyła owa chwila dla nich wytnienie ducha.

Kiedy chłopcy X. Ignacego, zadługo niekiedy przy elementarzu zasiedzieli się i brakowało, by kto służył do mszy, wówczas stary Jan, lokaj od lat pięćdziesięciu, stawał obojętnie, acz fatalnie go z ministranturą pamięć i umiejętność łaciny zawodziły. X. Ignacy, głuchy nieco, a bardzo latami obarczony, ani domyślał się, że Jan tnie baki i prawdziwe herezje wypowiada, a on tymczasem z dziwną śmiałością mruczał szybko wyrazy, niebędące wcale ani łaciną, ani tembardziej ministranturą.

Niekiedy, ku ogólnemu zgorszeniu, podczas *Introitu* u wybiegały szybko z ust Jana takie wyrazy: „*micus, micus, micus, Deus meus inimicus...*”

Chociaż się gorszono, ale nie zwracano na te niewłaściwości uwagi starego, szanowano jego lata sędziwe i zasługi długie... Szary tłum, nie zwracał uwagi zresztą na mruczenia szybkie starego, a przygodnego jedynie ministranta, i dopiero wtedy budził się niejako z zachwyty niezmiernego, w jaki go unosiła chwila modlitwy, gdy po ostatniej ewangelii poważnie szedł X. Ignacy z patyną ku gospodyni domu, a od niej ku innym, licznym, i zanurzał się wreszcie w ową ciżbę szarą, w ów tłum o losie twardym, niosąc wszystkim słowo pocieszające spokoju. — „Pokój z tobą”, „pokój z tobą” — szeptał starowina głosem znużonym, bo już tak szeptał i tak obchodził z patyną ubogą ciżbę rok pięćdziesiąty i czwarty... Jeszcze chwila, a tłum rozbiegał się do swych prac codziennych.

Może dziś niezrozumiały wyda się rzecz, iż chwila wspólnego podniesienia ducha, wspólnej modlitwy, lekarstwem najskuteczniejszym na wszystkie niedole, umiała się stać i stawała się... Życie Chrystusa, cierpienia i śmierci dla prawdy, nie uważano za rzecz daleką, za abstrakcją niejako, ale patrzano na nie jako na rzeczywistość, i rzeczywiste cierpienia, cierpienia dnia miały w nich swe pociechy, ukojenie...

Lotem ptaka przelatywał i znikał dzień grudniowy...

Godzina uczy braterskiej, chrześcijańskiej *agape*, godzina uroczystego wytnienia po trudach roku całego, zbliża się z dziwną chyżością. Zapelniano czas poważnem czytaniem... W kuchniach, w izbach czeladzi, w różnych oficynach, w obszernej jadalni, umieszczonej w drugiej połowie domu, krzątanie się było wielkie, chociaż bez gwaru zbyt technicznego — nie znoszono go tam z zasady — ale w pokojach bawialnych cisza panowała zupełna... Z polecenia pani domu czytano głośno, i domowi i goście, starsi i młodszy otaczali czytającego. Nikt nie uchylał się od słuchania; kapelan nawet nie chronił się do swej oficynki. Z księgi zawierającej kazania Skargi rozlegał się głos donośny, przypominający w dniu Wigilii, w dniu święta braterskiej miłości, jak urzeczywistniać należy ową chrześcijańską miłość bliźniego i płynącą z niej cnotę — miłosierdzie. W słowach tych skupiały się niejako wszystkie lekarstwa na bóle społeczne...

„...Bez miłości, nie waży nie, ani czystość, ani post, ani miłosierdzie“ — brzmiały słowa Skargi, w księdze uwiecznione. — „Bądźcie miłosierni, bo ludźmi jesteście“ — brzmiały te słowa w dalszym ciągu. „Wszyscy miłosierni bądźmy, bo bez tej cnoty żadna się Bogu nie podoba... Nie wszyscy mogą pościć, długo się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosierdnymi, aby ludzkie nędzy bliźnich swoich oddalali pociechą, płaczem, żalem, pomocą i radą. Nie możesz dać wiele, aby brat twój nędzy nie cierpiał, daj mało. Nie możesz dać pieniędzy, daj poradę, upomnienie, naukę, słowo dobre i pocieszające. Ty, któryś jest zdrowy, pomóż schorzałem; któryś nie upadł, wspomóż leżącego; któryś bogaty, nie opuszczaj uboższego; nie czekaj, abyś sam na sobie nie poznał, co to jest cierpieć nie-ludzkosc innych i jak to dobrze nie zamykać miłosierdzia upadłemu... Nie czekajże nad sobą ręki Boskiej i karania, który niemiłosiernych uniża: uczcie się na cudzej nędzy, abyście swojej nie doznali“...

Słuchano w skupieniu myśli. Ten i ów z umysłów lżejszych nie wytrzymywał do końca, ciachaczem wysuwał się z salki, aby zapalić fajkę pokrywemu na ganku, na mrozie, lub zamiast słowom Skargi przysłuchiwać się dźwiękom dzwonków spóźnionych gości. Wysunięcie się wszakże dyskretnie letkiewiczów, nie przeszkadzało czytaniu, które niejedno dobre ziarno rzucało w serca słuchaczy... Synowie pani domu pełnili czyny miłosierdzia, zalecane przez Skargę: starszy wśród nich, pan Wojciech, już wówczas sędziwy, nad grobem stojący, z dziwną nieraz prostotą dźwigał tych, co własnymi siłami dźwigać się nie zdołali, a gdy obdarowany w ciężkiej potrzebie zdumiewał się wysokością darów, czy nie są nad możność, dawca dodawał ze skromnością: „Bóg ma więcej, niż rozdał“... I nie to było snadź nad możność: syn jego większe od ojca mienie posiadał, na gruncie czynów miłości bliźniego mienie urasta...

Najstarsza z wnuczek, córka syna pani domu, od lat wielu nieżyjącego, piękna wówczas i w sile lat, pani Walerya z R... Bilińska, w rodzinie pospolicie nazywana „Walerką“, nie wiem, czy w onych dniach wsłuchiwała się pilnie w słowa wielkiego mówcy XVI stulecia. Ale te wielkie dary, zapisy krociowe, jakie po jej zgonie — przedtrzemalaty — spadły na miasto Lwów, aby założyć z nich szpital dla nieuleczalnych i inne instytucje dobroczynne, kto wie, czy w owych czytaniach i rozmyśleniach babki nie mają swego źródła... Co zlekka tylko trącało w umysł kobiety młodej, próżnej, to po kilku dziesiątkach lat znalazło odźwięk silny w sercu niewiasty złamanej, zestartej, boleścią smutków rodzinnych w istnieniu swem podkopanej, a samotnej, bo w sposób dziwnie tragiczny jedyna jej dziecina przed laty zeszła ze świata...

Miasto Lwów uczciło dobroczynnej pani pamięć, nadając i instytucji przez nią wznoszonej, i jednej z ulic nazwę „Bilińskich“; lecz tu, rozpatrzuwszy się ściślej w okolicznościach, widzimy, iż kłos miłosierdzia urósł z ziarna ongi rzuconego pilnie a długo dlonią pracowitej babki, która słowami Skargi wielokroć mawiała: „Żadne pożyteczniejsze ziarno na roli sere waszych siać się nie może, jak miłosierdzie...“

— ...Gwiazda, pierwsza gwiazda — wołaliśmy my dzieci, gdy o zmierzchu ukazały się promyki pierwszej gwiazdy. Ten okrzyk dziecięcy wywoływał szmer w całym tłumem zgromadzeniu, które w owej chwili tłumniejszym się stawało, bo całe zastępy sług z różnych szczebli domowej hierarchii liczną ciżbą tłoczyły się na dworskie pokoje, by dzielić się opłatkiem.

Wnoszono światła, woskowe różnobarwne i łojowe świece w wysokich świecznikach, z umbrellami obszernymi, blaszanymi, i bez umbrell, a to światło hasłem się stawało do wyruszenia w uroczystym pochodzie do uczty wigilijnej...

Zanim pochód do izby jadalnej na drugą połowę domostwa wyruszył, stawała na środku sali pani domu; podtrzymywano ją, by dłużej o własnej mocy stać mogła... stała tedy, i tak, chwycając

się, sędziwa matrona rozpoczynała dzielenie się opłatkiem...

Trwało to dłuższą chwilę. Gromady koła rodzinnego otaczały sędziwą niewiastę, która była dla wielu matką, babką i prababką. Cicha, milcząca, poważna, napozór prawie zimna, przyjmowała oznaki cześci ze spokojem, nierozrzewniając się, każdego darząc dobrem słowem, stosownym życzeniem, życzliwą uwagą, wyrazami pociechy lub otuchy.

Jeśli spokojną a zimną okazywała się, to jeno w ten sposób przejawiał się jej hart ducha, który ją do najsędziwszych nie opuszczał lat. Ta ducha niepospolitego moc sprawiała, że i w onej rzewnej chwili dzielenia się opłatkiem z blizkimi jej sercu i myśli zachowywała spokój i powagę: szafować zewnętrznymi oznakami uczucia niezwykłą była...

Z bawialni do izby jadalnej sunął powolny, długi łańcuch domowych i gości, ale po drodze na każdym kroku przystawał. Przodująca pochodowi pani domu dzieliła się owym chlebem anielskim ze służbą i czeladzią... o najlichszych, najbardziej maluczkich, nie zapomniano. Każdy miał swe prawa, prawa równe z innymi, do jej pamięci, jeśli przez życie z prawdą i cnotą szedł...

A tych domowników, sług, czeladzi różnego stopnia i miana, szereg nieskończony miał swe gniazdo pod dachem p. R. Powiększany nad potrzebę zastęp sług sprawiał, że w okolicy nie spotykano biedaków, szukających i nie mogących znaleźć pracy, przytuliska, kęsa chleba za okrucy trudu: każdy, bodaj mało uzdolniony, na dach i pożywienie zapracować mógł; a że i inne dwory rządziły się tą zasadą, iż służbą liczną otaczano się, na brak pracy, na czasy złe nie narzekano, ludzi wykolejonych nie widziano. A kto już raz tam stanął, nie opuszczał tego dachu, chyba dla trumny: starzy słudzy trzymali się gniazd swych chlebobawców, niby własnych.

U brata p. R. stary sługa Michał, który i moje matkę, i mnie znacznie później na rękach nosił, który u dziada mego prawie półwieku przebył, po zgonie swego pana nie chciał jego dachu opuścić.

*

*

*

W izbie jadalnej, znacznie od innych większej, a przynajmniej dłuższej, światła obfitość, czystość wzorowa i ład tworzyły jedyną ozdobę. Izba nie miała innych mebli nad stół nieskończenie długi, dość wązki, po obu stronach którego stały w pewnej, znacznie mniejszej części tylko krzesła i stołki drewniane, o kształtach przypominających epokę wiedeńskiej potrzeby; dalej już tylko ławy i zydle widziano, najzwyczajniejsze, ale lśniące się od czystości. Na krzesłach i stołkach zasiadali przedniejsi, starsi, dalej młódź, dzieci, domownicy, oficyaliści, mieścili się na zydlach, ławach. Jedna ze ścian posiadała bardzo wysokie wpuszczone w mur szafy — inne pustymi były; obrazów, ozdób nigdzie ani śladu; na głównej tylko ścianie wprost wejścia maluczki wizerunek Chrystusa. Wszystko odznaczało się prostotą niezmierną, niby klasztorną...

Gdy zwolna prowadzona pani domu stanęła u swego krzesła, wyróżniającego się od innych jeno tem, iż poręczę posiadało, kapelan odmówił krótką modlitwę, którą wszyscy zeicha powtórzyli: tak tam czyniono przed każdym jedzeniem.

Jeżeli skromną zawsze widziano tam zastawę, to owa uczta wigilijowa prześcigała swą prostotą zwykły skromny tameczny obyczaj. Czystość, obfitość jadła i napoju zastępowały, nie mówię zbytek, bo go tam wcale nie znano, ale wszelki objaw zamożności, do którego uczty owego starego dworu miały wszelkie prawo. Nic podobnego tam nie spotykano. Szary wązki obrus okrywał stół, zastawa była cynowa, a zpod obrusa wyglądało siano, przypominające ubóstwo Chrystusowej kolebki. Tuż obok, w rogu izby, stał snop słomy, na podstawie z siana ustawiony; uzupełniał on symbolikę wymownie, przypominając rolniczą podstawę bytu społeczeństwa. Myśl o roli nasuwała wciąż myśl inną, o tych, z którymi pracowano

na owych polach rozległych, żywiących zarówno mieszkańców dworu, jak i wiejskie, szare, ubożuchne rzesze.

Spójnia z tymi współpracownikami wciąż opłatała stosunki ówczesne. Pod dachem starego dworu nigdy o spójni tej nie zapomniano; powszednie sprawy dnia tysiące nasuwały drobnych okoliczności, zacieśniających węzły owej łączności, która tak długo trwała, jak długo przykładano do lemiesza codziennej pracy własną dłoń: później najemne ręce nie zacieśniały, owszem częściej rozluźniały, wszelką nie spójni.

Uczta była długa; rozpoczynając się od migdałowej polewki, składała się z wielu dań z ryby, a zamykała ją potrawa z pszenicy, miodu i maku, którą w czasach pogańskich raczono bożków. Bez tradycyjnego dania tego Wigilia obejść się nie mogła...

Wogóle mnóstwo prastarych tradycji obyczajowych otaczało ową biesiadę: nie zapomniano nigdy o żadnej — wiernie trzymano się zwyczajów. Do szeregu tradycji zaliczyć należy zasadę oszczędności w życiu codziennym; ta zasada w czyn wprowadzona dawała niezaprzeczoną moc zwalczania wszelkich trudności. Tą tylko zasadą rządząc się, zdołała pani R. dokonać tego, co dokonaniem dla dobra rodziny zostało... „Zbytek w domu — mawiała, powtarzając słowa jednego z dawnych wieków pisarzy — zbytek w domu, jako suchoty ciała, powoli stęka, ale pewna śmierć“...

Nie była więc zbyt kowną i owa uczta wigilijna, jak w ogóle żadna uczta pod owym starym dachem. Jeszcze nie ukończono jej, jeszcze kapelan nie odmówił dziękiżyny modlitwy, hasłem odejścia będącej, a już dały się słyszeć szybkie stapania poza oknem, chrzest zmarłego śniegu, uginającego pod licznymi stopy, dołatywał wyraźnie do ucha biesiadników... To wieśniaczki tłumnie szły ku dworowi, niosąc wigilijną wieczerzę... Przyjmowano uprzejmie ich skromne dary, wzmian nakładając do ich naczyń potrawy z pańskiego, wigilijnego stołu...

Uroczystość noce pamiętnej w dziejach Ludzkości, radośnie obchodzoną z wieczora, przedłużano do bardzo późnej godziny. Domowstwo stawało się gwarnem i jakby jeszcze bardziej zaludnionem. Podczas gdy w dalszych pokojach przyjmowano wieśniaczki i, napełniając ich naczynia wigiliowymi pokarmy, gwarzono z nimi przyjaźnie o ich sprawach domowych, troskach i radościach rodzinnych, w bawialnych pokojach brzmiała pieśń kolendowa o radości „nowinie“, która przysła z niebieskiego dworu... o Tym, kto ry „w żłobie leży“, „Aniele“, wreszcie, co „pasterzom mówił“...

I owe pieśni kolendowe, owe radośne okrzyki płynęły ze ścian dworu ku wieśniaczym strychom; gdy zaś hasła czujnego kura wiejskiego zwiastowały zbliżającą się północ, już cała wieś brzmiała jedną poważną, radośną pieśnią kolendową... a dzwonek dworskiej kaplicy, zwołujący na Pasterkę, wtórował echem kolend wieśniaczych.

Maryan Dubiecki.

POGRZEB DAHOMEJKI.

Wśród pokoleń tuziemców afrykańskich najsilniej opierają się Francuzom Dahomejczycy, plemię bitne, które z piersi matek wysysa męstwo i dzielność wojowniczą, bo tu kobiety, jak starożytne amazonki, stają w czasach wojny do boju, tworząc szeregi oddzielne i ciskając się namiętnie na białych. W pobliżu stolicy kraju, miasta Abome, o dwie mile od niego, ciągnie się na przestrzeni wiorst kilku w wąwozie górskim wieś Kana, mająca dwanaście tysięcy mieszkańców, a jest to dla krajowców miejsce święte, gdzie się odbywają wszystkie wielkie uroczystości religijne tego dzikiego ludu, który na ofiarę bogom swoim pali na stosie nie tylko zwierzęta, ale i ludzi — jeńców wojennych. Bitwa pod Kana, w ostatnich

czasach stoczona, jakkolwiek była dla krajowców nieszcześliwa, meztwo ich wzbudziło podziwienie i uwielbienie Francuzów: dowódzca ich, generał Dods, pisał w raportach swoich, że, zdobywszy jedną pozycję, zasiek silnie broniony, musiał zatrzymać się na miejscu przez dni kilka, nietylko dla odpoczynku, ale straty w ludziach były tak wielkie, że potrzebowano posiłków, uzupełniających szeregi przeredzone.

Wśród tej krwawej walki hufce przodujący innym i walczący najdzielniej, najsilniej, składał się z kobiet, amazonek, o których Francuzi pisali, że biją się jak „dzikie zwierzęta, a raczej jak bohaterki, nie dając i nie przyjmując pardonu.“ Gdy siły ich słabną, pokrzepiają się wysokowym napojem, wyrabianym z owoców pewnego gatunku palmowego drzewa i rzucają się naprzód, nietylko nie ceniąc życia, ale nie lękając się bólu — kul i bagnetów.

Przecież meztwo to, bohatersko-dzike, nie mogło nie zdziałać wobec taktyki, wobec broni europejskiej. Pobite ostatecznie hufce rozsypały się, wojska francuskie dotarły do ich ostatnich zasieków, znaczna liczba krajowców uszła w głąb gór i lasów, część ich emigrowała, i oto znajdujemy amazunki dahomejskie w Europie, gdzie występując, jak średniowieczni rycerze na turniejach, z wojowniczymi igrzyskami ścigały liczne widzów, podziwiających muskularną siłę tych dzielnych, gibkich cór Afryki. Aż oto w połowie ubiegłego miesiąca śmierć zabrała jedną z pomiędzy nich, młodą, w pierwszym rozkwicie życia, bo siedemnastoletnią dziewczę imieniem Kula. Klimat Europy, pobyt w miastach dusznych i przełudnionych, a może i tęsknota do miejsc rodzinnych zabiły ją, córkę przestrzeni otwartych, swobody nieograniczonej; umierała śmiercią powolną w szpitalu, łagodna i spokojna, a zwłoki jej w prostej trumnie drewnianej, złożone w trupiarni jednego ze ementarzy monachijskich, ścigały do siebie tłumy ludzi, z których jedni szli wiedzeni smutnem współluciem, drudzy patrzyli ciekawie, bo leżała na tem ostatniem łożu ziemskiem w całej parady swego rycerskiego stroju, w białem kepi na czarnych kędziarach, z przewieszoną przez ramię ładownicą z godłem trupiej głowy, a twarz miała wyraz spokojny i łagodny, dziecinny prawie. Tworzyło to kontrast silnie uderzający z otaczającymi ją zwłokami kobiet, odzianymi w długie koszule śmiertelne, o wywiedłych, białych licach. Pogrzeb odbył się d. 15 Listopada, a była to uroczystość żałobna, niewypowiedzianie wspaniała i malownicza, wzruszyć zdolna najchłodniejsze serce. Przed trumną prostą, na żółto pomalowaną trumną szpitalną, pokrytą w całości wieńcami, postępowało trzech rycerzy dahomejskich i dwanaście towarzyszek zmarłej, amazonek, w pełnym rycerskim swym przyborze, a z których każda pożegnała poprzednio zmarłą towarzyszkę pocałunkiem siostrzanym. Naczelniczka ich, Gunema, wionęła jeszcze na znak ostatniego pożegnania białą chustą przy żałobnie śpiewnych trenach towarzyszek, i wtedy według obyczaju narodowego Dahomejczyków związano zmarłej usta, założono nogi jedna na drugą, związano je również i wyniesiono trumnę uroczystie, z powagą wielką spuszczoną ją do grobu, nad którym najstarszy dowódzca dahomejskich szeregów wygłosił pewnego rodzaju przemowę, złożoną ze zdań narodowych o życiu i śmierci, przyczem zgromadzeni w koło niego ze spuszczoną ku ziemi bronią odzywali się kolejno.

Nakoniec odezwał się brat zmarłej wzruszającym sposobem, bo tak, jak gdyby się odzywał do tej, która go słyszy może — „Kula! stoimy nad grobem twoim wszyscy w boleści wielkiej, i przebaczą nam, jeżeliśmy uczynili ci kiedyś co złego. Przybyłaś tu z nami do tego kraju, rzucając piękną ziemię ojczystą z nadzieją w sercu, że kiedyś wrócimy do niej, ale stało się inaczej! Leżysz umarła a my boleliśmy nad tem rozłączeniem się z tobą... Spij w ziemi obcej, będziemy pamiętać o tobie wszyscy i przypominać cię sobie, gdy wrócimy do kraju ojczystego...“

W czasie mowy tej, tego ostatniego odezwania się do zmarłej, trzymał on w jednej ręce miecz podniesiony, w drugiej kordelas rycerski, a słowa jego wywierały wrażenie silnie wzruszające,

brzmiało uroczystie wśród otaczającej go cichości, a gdy skończył, zaczęto rzucać ziemię na trumnę, każdy garść swoją a towarzyszkę zmarłej najpierwej, z powagą wielką, uroczystie, i tylko ludność miejscowa, cisnąca się tu natarczywie, jak na widowisko ciekawe, psuła wspaniały efekt żałobnej uroczystości.

Kronika działalności kobiecej.

W Petersburgu poruszono w sferach właściwych kwestyą otwarcia tam wykładów lekarskich dla kobiet, składając w radzie państwa projekt odnośny lekarskiego instytutu dla kobiet.

— Druga wystawa rzemieślniczo-artystycznej pracy kobiet, będzie urządzona w Petersburgu, w 1894 r.

— W mieście naszym zmarła szlachetna filantropka, spełniająca w cichości dzieła miłosierdzia i miłości bliźniego, hr. Tyszkiewiczowa Helena z Kołysków. Przed pięciu laty D-r K., profesor chirurgii, dokonał na tej pani, wtedy ciężko chorej, operacji, która się szczęśliwie powiodła i przez wdzięczność za odzyskane zdrowie postanowiła wypłacić się Bogu i ludziom czynem cichego miłosierdzia, składając corocznie na ręce prof. K. 750 rs. na edukację dla niezamożnej młodzieży, z których 500 rs. szło pod pieczęcią tajemnicy na opłacenie wpisów studentów Uniwersytetu, a 250 rs. na tenże cel dla uczniów gimnazjalnych. Obok tego jeden z kapłanów, proszony również o zamilezenie rzeczy, otrzymywał co kwartał 200 rs. na zapomogi dla biednych rzemieślników, którzy w skutek choroby, lub innego nieszczęścia, nie mogli się utrzymać przy warsztatach swoich. Liczba rzemieślników, ocenionych w ten sposób od nędzy, jest według obliczeń pośredniczącego tu kapłana, 28, a gdy doda się do tego ich rodziny, ileż to osób winno było tej pani szczęście podniesienia się nad nędzę a często i upadek moralny, który się z nią łączy. Nie znali oni nazwiska dobrodziejki swojej, gdyż dopiero jej śmierć pozwoliła odechylić zasłoniętą tajemnicę, obecnie zaś córka zażenowanej pani, z Tyszkiewiczów Wodzińska, zawiadomiła przewodniczącego koloniam letnim dla słabowitych a ubogich dzieci warszawskich, d-ra Markiewicza, iż zmarła przeznaczyła na trzyletni użytek kolonii dwór postawiony w lesie, w majętności Sucha, w pobliżu miasteczka Białobrzegi nad Pilicą, a w którym, dla oddychania powietrzem leśnem, przebywała sama przez lat kilka. Wzorowa ta kolonia ma obok tego otrzymywać corocznie 100 rs. i według przybliżonej oceny znajdzie się tam na raz miejsce na 40 dziewczynek, czyli przez ciąg lata na 120.

— Okrutnym zgonem zesłała ze świata Józefa Gerlachowa zapisała ostatnią wolą swoją na budowę kościołów warszawskich 18,000 rs. Kościół na Pradze otrzymuje z tego 8000 rs., kościół ś-go Aleksandra na placu Trzech Krzyży i kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie, po 500 rs.

— Na ostatniej sesyi Warsz. Tow. Dobroczynności w wydziale wsparć, przyznano z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej, po 37 rs. trzem ubogim dziewczynkom, uczęszczającym do zakładu freblowskiego p. Weryho.

— Z funduszu ofiarowanego przez p. Wołowską, Warsz. Tow. Dobroczynności wydało za pośrednictwem opiekuna Nowej Pragi, p. Nawrockiego, od d. 19 października do 20 listopada 2,535 obiadów, wydając ich po 65 dziennie, kosztem 139 rs. i coś drobnych. Obok tego Towarzystwo postanowiło złożyć podziękowanie opiekunce miejscowej, p. Wandzie Nawrockiej, za czynne i gorliwe zajmowanie się sprawą wspomnianych obiadów.

— P. M. Sikorska, nauczycielka prywatna wykonała wielkich rozmiarów mapę poglądową Królestwa Polskiego, przeznaczoną na wystawę w Chi-

cago. Podział miejscowości dokonany jest według produkcji rolniczej, przemysłowej i fabrycznej.

— P. Wasilewska, warszawianka, ukończywszy szkołę weterynaryi w Paryżu, powróciła do rodzinnego miasta z zamiarem otworzenia lecznicy dla zwierząt i ptaków pokojowych. Zakładów takich jest wiele w Paryżu, w Londynie.

— P. Aniela Biernacka, malarka, kształcąca się w sztuce wyższej w Paryżu, a zamieszkująca obecnie w Warszawie, otworzyła pracownię.

— P. El. Grabcicka prowadzi w Kielcach szkołę rzemiosł kobiecych.

Z bieżącej chwili.

— Petersburgskie Tow. popierania przemysłu i handlu obchodziło rocznicę dwudziestu pięciu lat swego istnienia.

— Wystawa higieniczna otwartą zostanie w Petersburgu w miesiącu Maja.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż projekt podatku od mieszkań został przyjętym w zasadzie przez Radę państwa. Projekt będzie wkrótce rozpatrywany szczegółowo.

— Ministerium komunikacji utworzyło komisję specjalną dla wypracowania projektu przepisów o głównym nadzorze dróg wodnych i bitych.

— Warszawskie towarzystwo ogrodnicze wyznaczyło, podobnie jak lat przeszłych, dwie nagrody pieniężne za długoletnią uczciwą pracę na jednym miejscu. Towarzystwo nadmienia, iż w liczbie trzydziestu kilku świadectw z lat poprzednich, złożonych w Towarzystwie, trzy kwalifikują się do nagrody, jako obejmujące ciąg przeszło czterdziestoletniej służby.

— Zbiór okazów na wystawie etnograficznej ciągle się pomnaża, zwłaszcza dzieł etnografii krajowej, dotąd najuboższy otrzymał wiele pięknych i zajmujących okazów. Między innymi przedmiotami znajdują się oryginalne łyżwy śniegowe, używane przez mieszkańców miejsc błotnistych, oraz łyżwy skórzane, używane w Japonii.

— Szlachetny filantrop mieszkaniec Ameryki, Erazm Jerzmanowski nadesłał na rzecz kasy imienia Mianowskiego 150 rs. Okazuje się, iż węży jakie wiążą ludzi między sobą, nie zrywają się przez oddalenie.

— Redakcja „Niwy“ zaprowadziła pewne zmiany w zadaniu i celach tego pisma, czyniąc je więcej ogólnem w kierunku interesów umysłowych i humanitarnych społeczeństwa.

— Projekt wystawy przemysłowo-rolniczej, mającej się odbyć we Lwowie w 1894 r. już rozbudził ruch odpowiedni. Przypuścić należy, że wystawa odpowie celowi: przedstawi stan przemysłu i rolnictwa miejscowego.

— Czasopismo pedagogiczne: „Poradnik dla rodziców“ zacznie wychodzić w Krakowie z dniem 1-go Stycznia.

— Na pomnik Fredry, ojca, zebrano 4066 zł. reń. Urządzone będzie w miesiącu nadchodzącym na rzecz pomnika przedstawienie jednej z jego komedii w teatrze Skarbka.

— Monopol sprzedaży w Galicyi soli z kopalni Wieliczki oddany został wydziałowi krajowemu mimo silnych przeszkód, stawianych temu przez urzędnicze sfery wiedeńskie. Wydział obowiązany jest złożyć kaucję w summie 945.000 zł. reń. Zastrzeżenia poczynione przez ministerium w Wiedniu zgodne są zupełnie z zastrzeżeniami poczynionymi przez sejm galicyjski.

— Gdańsk nawiedzony został wielkim pożarem, który wybuchnął w nocy na Wyspie Spichrzowej, a ogień był tak silny, że oświecił przerażającą luną swoją cały widnokrąg. Pality się trzy śpiżnice, pożar wszczął się około północy w wielkim starożytnym śpiżnicy: pod godłem „Soli Deo gloria“. Ładowano do późnego wieczora, więc przy świetle, zboże mieszczące się tu na parowcu,

mającym odpłynąć wczesnym porankiem; pierwsze płomienie okazały się wybuchając z luk drugiego piętra, a ratunek był niemożliwy z powodu, że gdy dla przystępu do ognia otworzono luki, nastąpił silny ciąg powietrza, podsycający pożar, który wybuchnął teraz tak gwałtownie, że zatamował drogę odwrotu trzem usiłującym gasić go strażakom. Nieszczęśliwi wyskoczyli oknem na most, jeden z nich, brandmajster Treptow, podniesionym został w stanie nieprzytomnym z połamanymi nogami, dwaj inni ucierpieli nieco mniej; Treptow zaniesiony do szpitala na noszach skończył wkrótce, zostawiając po sobie wdowę i młodego, bo osiemnastoletniego syna.

— Pasteur dożył lat siedemdziesięciu i z okazji tej rocznicy studenci uniwersytetu w Kopenhadze wybić kazali medal pamiątkowy, niezwykle wielkich rozmiarów, bo mający 29 centymetrów średnicy, a 2 centymetry grubości. Medal przedstawia na jednej stronie postać niewieścia, naukę, która siedząc odczytuje wyryty przez siebie spis wszystkich naukowych odkryć uczonego męża. Zostawionem tu zostało jeszcze miejsce puste, mające oznaczać, że szereg naukowych prac jego nie jest bynajmniej zamknięty, i że historia nauki nowoczesnej jeszcze tu coś doda. Na drugiej stronie napis, objaśniający komu i przez kogo, z jakiej pobudki medal ten ofiarowanym został.

— Ziemianin z okolic Grodna, p. Justyn Pawło-

wicz, zakłada w mieście naszym handel nasionami własnej produkcji, obok tego urządza z nadchodzącą wiosną stacyą doświadczalną na Saskiej Kępie.

— Zgubne w skutkach swoich wychodźstwo do Ameryki szerzy się w Galicji, w skutek czego namiestnik, hr. Badeni, zalecił starostom miejscowym czujną baczność nad agentami, którzy dla nikczemnego zarobku wyprowadzają tam ludzi, nieświadomych tego co ich czeka. Surowe kary zostały na nich wyznaczone.

— Towarzystwo ratunkowe w wypadkach nagłego zasłabnięcia, istniejące w Krakowie od pół roku, już zaznaczyło dowodnie użyteczność swoją. Sprawozdanie za miesiąc ubiegły wykazuje, iż Towarzystwo dało pomoc w tym miesiącu 107 chorym.

— Ubogim dzieciom uczęszczającym do szkół krakowskich, rozpoczęto wydawać obiady bezpłatne.

— Stowarzyszenie kupeców i młodzieży pracującej w zawodach handlowych obchodziło we Lwowie niezwykłą uroczystość. Towarzystwo istnieje już lat 219; założone w 1673 r., jako konfraternia literatów i młodzieży kupieckiej, posiada bibliotekę, czytelnia, salę zabaw, urządza odczyty, wykłady popularne, członkom niezamożnym udziela zapomóg, daje wdowom i sierotom pensye a starszym członkom emeryturę.

— Krakowska rada miejska uchwaliła ostatecznie po pięciu sessjach utrzymanie kursów dla kobiet w Muzeum imienia Baranieckiego na zasadzie, iż istnienie kursów oddaje wielkie usługi edukacji kobiet. Przyłożyli się do tego głównie p. p. Asnyk i Pawlikowski przemawiając za potrzebą utrzymania kursów, które dzielić się będą na trzy oddziały: literacki, przyrodniczy i sztuk pięknych.

— Ebers napisał i wydał w Wiedniu historią życia swego.

— Portretów Leona XIII jest kilka, lecz posąg, popiersie wykute w marmurze kararyjskim, jedne tylko, wykonane niedawno przez młodego rzeźbiarza francuzkiego, Henryka Chartrana. Zdjęta z tego oryginału kopia, miedzioryt, rozszedł się w wielkiej, kilkotysięcznej liczbie, tak we Włoszech, jak i Francji. Papież ofiarował kilka tych kopii z podpisem własnoręcznym dostojnikom kościoła i osobom z bliższego otoczenia swego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 7-my powieści pod tytułem **Trzy przeznaczenia**, przez Marionę Crawforda, przekład z angielskiego.

Cena zniżona rs. 5 (dotychczasowa była rs. 9) pocztą rs. 6

Sprzedaje się na rzecz rodziny pozostalej po zmarłym w r. b. autorze-wydawcy Dr Starkmanie dzieło p. t.

ENCYKLOPEDYA ILLUSTROWANA Medycyny i Hygieny popularnej

według dzieła D-ra PAWEŁA BONAMI Laureata Akademii Medycznej w Paryżu

w opracowaniu D-ra Józefa Starkmana.

31 zeszytów zawierających 90 arkuszy druku w dużym formacie 8-o i 160 rycin objaśniających

Można dzieło to nabyć od razu za rs. 5 w Warszawie (6 rs. z przesyłką pocztową) lub też częściowo po 6 zeszytów naraz wnosząc za takowe po rs. 1 w Warszawie (rs. 1 kop. 25 z przes. poczt.), ostatni 31 wydany będzie bezpłatnie, — odbiór wszystkich nastąpić winien do 1 Lipca 1893 r. — Prenumeratorowie, którzy zalegli w odbiorze zeszytów mogą nabyć obecnie zeszyty po kop. 16 w Warszawie a 20 k. pocztą — z prowincyi uprasza się żądać najmniej 5 zeszytów od razu.

Dzieło to zawiera niezbędne dla każdego wiadomości z Medycyny i Hygieny, wyłożone w sposób jasny i przystępny, głównie zaś sposoby udzielania pomocy w razie nagłej choroby i w braku lekarza.

Wyciągi z recenzji.

(z „Gazety Warszawskiej“ Nr 5—90 r.). „Wydawnictwo „Encyklopedyi“ witaliśmy już na tem miejscu, jako bardzo pożądaną i przedsięwziętą przez biegłego specjalistę. Przejrzenie pierwszego zeszytu utwierdza nas w pochlebnem dla tego dzieła mniemaniu. Wykład objaśniony zapomocą rysunków znaleźliśmy nie tylko starannym i dostępnym, ale nawet niekiedy zajmującym, co w książkach dla szerszego ogółu zaletę stanowi. Społeczeństwo nasze, aczkolwiek posiadał: Sniadeckich, Maleczów, Le Brunów, Mianowskich, Girsztowtów i Chałubińskich, powoli dopiero przychodzi ku należytej ocenie doniosłości

hygieny, może więc teraz weźmie głębiej do serca rozsądne uwagi lekarza“.

(z „Kuryera Codziennego“ Nr. 5—90 r.). „Encyklopedia ilustrowana“ w opracowaniu D-ra Starkmana zawiera wyczerpujące dla niespecjalistów wiadomości, opisy są treściwe, jasne, zrozumiałe dla każdego, wydanie jest bardzo staranne, nie ustępuje oryginałowi, zdobi go znaczna ilość rycin objaśniających treść. Z prawdziwym pożytkiem znaleźć się może w każdym domu i rzeczywiście na rozpowszechnienie zasługuje“.

(z „Przeglądu Katolickiego“ Nr. 3—90 r.). „Dzieło to polskie opracowanie i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowane przez Józefa Starkmana, może przyczynić się wiele do rozszerzenia wiadomości higienicznych i stać się dogodnym podręcznikiem do niesienia pierw-

szej pomocy lekarskiej tam gdzie lekarza niema, lub wreszcie mieć go nie można“.

(z „Gazety Radomskiej“ Nr 37—90 r.). „Z przyjemnością zaznaczyć możemy, że dzieło podobne nie tylko, że ma racya bytu, lecz jest nawet dobrodziejstwem dla inteligentnej publiczności, pragnącej się zapoznać z kardynalnymi pojęciami o chorobach i mniej więcej o leczeniu. Wydawnictwo więc D-ra Starkmana zasługuje ze wszelkich miar na uznanie. Słowem w „Encyklopedyi“ znajduje się dużo wiadomości pożytecznych i obznajomienie się z niem dla publiczności uważać można za konieczne“.

(z „Gazety Lubelskiej“ Nr. 37—90 r.). „Encyklopedia medycyny i higieny“ znajdować się powinna w każdym domu“.

Znajdują się do nabycia we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Szczęście, przez M. I. — Mgła. Powieść oryginalnie napisana przez M. Gawalewicz (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Dnie dorocznych uroczystości rodzinnych (ze wspomnień młodości), przez Maryanę Dubieckiego (dokończenie). — Pogrzeb dahomejki. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my **Trzy przeznaczenia** przez Marionę Crawforda. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. — 41 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Доволено Цензурою. — Варшава, 16 Декабря 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.